

MURZYNEK

Nr. listopadowy. Rocznik 1-szy.

„Murzynek“ wychodzi raz na miesiąc i to, w r. 1913, jako **dodatek bezpłatny do „Echa z Afryki“**. Dla postronnych osób — cena numeru pojedynczego 5 hal., 5 fen., 3 kop.

Samotny grób.

Niema z pewnością kraju na świecie, nad którymby pogaństwo tak złowrogie rozpostarło cienie, jak nad Afryką. Usprawiedliwia ona nazwę: czarnego kontynentu. Ciężkiem, niepodobnem prawie wydaje się zadanie niesienia dzikim jej plemionom światła Wiary św. i zaszczepiania wśród nich zasad i obyczajów chrześcijańskich. A przecież, pokonali Misyonarze to pozorne niepodobieństwo, chociaż, kosztem niezliczonych ofiar, cierpień, zaparcia się siebie, co więcej — ceną własnego życia. Ale któ-

ryż kapłan chrześcijański waha się przed ofiarą, skoro chodzi o ratunek chociażby jednej duszy?

To co tutaj opowiem, działo się przed laty w pewnej wiosce, położonej w Afryce zachodniej. Bawił tam od pięciu miesięcy młody Misyonarz, któremu zwierzchność duchowna to właśnie pole wyznaczyła do pracy. Twarda to zaiste była rola! Niedostatecznie obeznany z językiem krajowców, oddalony o wiele mil drogi od najbliższej stacyi misyjnej, zupełnie prawie pozbawiony ludzkiej pomocy i porady — w takich to warunkach musiał młody Kapłan rozpocząć swe dzieło nawracania. Na wzór Zbawiciela, który ze szczególnem upodobaniem garnął ku sobie dzieci, starał się wszczepiać w serca małych murzynków miłość Chrystusa Pana i Jego Niepokalanej Matki. Sam, stawał się z niemi dzieckiem, żył dla nich i niemi, i dla tego oddawały mu się zupełnie i niepodzielnie. Jakże słodką pociechą dla młodego Kapłana była chwila, gdy na pytanie jego: »Gdzie mieszka Bóg?« dziecko małe, po raz pierwszy obie rączki wznosząc do nieba, niewprawnemi usty wymówiło Imię Jezus.

Trudniej było z dorosłymi. Podburzana przez swych czarowników, w fanatycznem pogaństwie pogrążona ludność usposobiona była wrogo względem Sługi Bożego, lub okazywała mu źle ukrytą nieufność; to też wszelkie wysiłki pozyskania jej dla Chrystusa, rozbijały się o chytre matactwo czarnoksiężników. Nie bieda i doległiwe ofiary, jakich wymaga praca misyjna; nie cierpienia krwawią serce Misyonarza, lecz przerażający fakt, iż piekło wysila się, aby dzieło jego paraliżować i niweczyć. W Europie niemal nieznane są męczarnie, które dla gorliwego misyonarza cięższemi są do zniesienia od samej śmierci.

To też cierpiał O. Antoni — tak bowiem nazywał się młody nasz Kapłan — dotkliwie, z tem smutnem przeświadczeniem iż pomimo trudów i pracy, których nie skąpił, nie zdoła wiara zapuścić korzeni w tych opornych sercach. Godzinami klęczał przed wizerunkiem Maryi ażeby wybłagać u Matki Miłosierdzia nawrócenie swych biednych murzynów, i na Jej ręce złożył Bogu swe własne życie w ofierze za zbawienie czarnych braci — i Bóg przyjął tę ofiarę.

Październik miał się ku końcowi kiedy wybuchła we wsi zaraźliwa ospa. Według okrutnego zwyczaju miejscowego, wyganiano wszystkich nią dotkniętych do pobliskich lasów, gdzie, pozbawieni wszelkiej pomocy i opieki, stawali się łupem niechybnej prawie śmierci. Tym, których silny organizm pomimo to zwyciężał chorobę, nie wolno było przed zupełnem wyzdrowieniem wracać do swoich. O. Antoni nie zawahał się ani chwili by nieszczęśliwym pospieszyć z pomocą. Zaopatrzywszy się w niezbędne lekarstwa, i niezbędniejszą jeszcze wodę do udzielania Chrztu św. podążył do lasów, które stały się odtąd jego stałą siedzibą. To — czego odmawiali mu tak długo zdrowi: miłości i zaufania, dawali mu teraz ochotnie chorzy, których, pomimo odrazę budzącej choroby, pielęgnował z bohaterskiem poświęceniem. Lecz nie danem zostało O. Antoniemu cieszyć się tu na ziemi, owocami swej pracy, gdyż sam wkrótce uległ straszliwej zarazie. Nie mógł już spieszyć, pomimo wysiłków, swym ukochanym chorym z pomocą, samotny i opuszczony, leżał bohaterski Kapłan na łożu boleści w nędznej chacie murzyńskiej, w głębi dzikiej puszczy. Nikt nie wiedział o jego stanie. Murzyni, którzy, dzięki jego opiece, odzyskali zdrowie, powrócili z radością do siebie, a biedni chorzy

czekali napróżno na swego ukochanogo Ojca, który ich dotychczas tak często odwiedzał i pokrzepiał. Nikt nie przyniósł konającemu Misyonarzowi ulgi w ciężkich cierpieniach; nie otarła potu z czoła przyjazna ręka, nie wyrzekły usta przyjacielskie słów pociechy i otuchy w ostatniej najcięższej walce i nikt modlitwą nie wspomagał. Opuszczony od wszystkich, zakończył życie.

Niektórzy z jego wiernych murzynów, przybywszy Ojca swego odwiedzić, znaleźli go już nie żywego i zimnego na nędznym barłogu, zmienionego okropnie przez straszną chorobę, lecz z błogim uśmiechem na wypogodzonej twarzy. Pomimo nieopisanej trwogi jaką wzbudza u murzynów widok śmierci, nie zawahali się ci wierni przyjaciele oddać swemu dobroczyńcy ostatniej posługi. Pochowali go, płacząc cicho, obok chaty wśród lasu. — Nie ozdobił samotnego grobu krzyż, kwiecie, lub płonąca świeca, i nie wzniosła się ku niebu modlitwa za duszę tego nieznanego męczennika apostolskiej miłości, lecz Bóg był mu bez wątpienia Sędzią łaskawym, gdyż: »cokolwiek najmniejszemu z tych moich braci uczynicie, mnieście uczynili«.—

Zaiste, życie i śmierć niejednego Misyonarza w Afryce nie różni się wiele od życia i śmierci O. Antoniego. Samotne życie, pełne walk i cierpień, a w końcu samotna śmierć. Och! gdybyśmy chociaż z oddali, i o ile to w naszej mocy, chcieli tym bohaterskim krzewicielom wiary, którzy, ludźmi są wszakże słabymi, tak jak i my, pospieszyć z pomocą, szczególnie modlitwą, jakżebyśmy ulżyli ich cierpieniom, walkom, ich tak często osamotnionej śmierci, a po niej dopomoglibyśmy duszom ich do rychłego oglądania Boga, i cieszenia się Nim w wieczności.

Wiązka szkiców z Afryki

dla moich młodych Przyjaciół w Europie.

Przez O. J. Baetemana. Misyonarza Lazarystę w Abisynii.

(Dokończenie).

XV.

Mały Janek.

Janek ma 7 lat. Mała duszyczka szczera i niewinna, kwiat rzadki, niestety, na gruncie, jaki mamy do karczowania. Ojciec jego, były żołnierz, (tu słowo żołnierz oznacza mniej więcej rozbójnika), nawrócił się z całego serca i stał się najgorliwszym z naszych Irobów, codzień słuchał Mszy św. i przystępował codziennie niemal do Stołu Pańskiego. Gdy szedł na targ, o dwa dni stąd, nie tracił czasu na rozmowy z towarzyszami, z różańcem w ręku modlił się ciągle. W nocy brał na siebie podsycanie ognia i pilnowanie osłów, przyczem, przesuwając paciorki różańca, odpędzał hyeny. Kilka razy widziano go, z oczami w niebo wzniesionemi, jak w zachwyceniu. Takim był ojciec małego Janka; umarł on przed 8 miesiącami, jak Święty. Janek odziedziczył po nim pobożność i szczerość. Bawił się on nawet, budując mały kościółek pod skałą, koło nędznej chaty swego ojca i zaprowadził tam dwie swoje siostry dla zachęcenia ich do modlitwy. Lubię wciągać go w rozmowę. Tak gawędząc z nim niedawno, spisywałem jego odpowiedzi, nie dając tego poznać po sobie.

— Czy bardzo kochasz Pana Boga?

— Tak, bardzo!

— Dlaczego?

— Bo On mię stworzył i umarł za mnie.
— A wiesz, że są tacy, co Go nie kochają.
— Tak, to są źli! Pan Bóg czyni im tylko dobro, a oni Jemu czynią zło.
— Czy wiesz, jak umarł Pan Jezus?
— Źli żydzi przywiązali Go, plwali na Niego i przybili Go wielkimi gwoździmi.
— Gdyby ktoś ci powiedział: »Jesteś katolikiem, wyrzecz się wiary twojej, albo cię zabiję«, cobyś uczynił?
— Bałbym się w duchu, ale powiedziałbym: »Zabij mnie!« a potem Pan Bóg odpędziłby strach.
— Co uczynisz, gdy będziesz dużym?
— Ja będę księdzem!
— Czy oddawna myślisz o tem?
— Tak, od czasu kiedy byłem jak Metereka, (siostra jego mająca 4 lata).
— A dlaczego chcesz być księdzem?
— Żeby zawsze czynić dobrze, a nigdy źle.
— Czy to wszystko?
— Nie! ksiądz odprawia Mszę św. codzień, a kiedy ludzie kłócą się, mówi im: »Nie trzeba się sprzeczać«!
— Czy bardzo kochasz Matkę Boską?
— Tak, bo ona zgniotła głowę węża, co ma figę w ustach!
— A mnie czy kochasz?
— Tak, bo Ojciec opuścił swego ojca i swoje plemię żeby opowiadać nam Ewangelię, żeby dawać nam koszule i cukier, żeby nam mówić: »Zamknijcie oczy, złóżcie ręce, odmawiajcie dobrze modlitwę i nie chodźcie z szatanem!«

* * *

Drodzy moi Czytelnicy, zostawiam was dziś z małym Jankiem i przyrzekam wam, wedle słów

piosenki: »Jeżeli to opowiadanie was zabawiło, znowu wam je opowiedzieć«, to jest, po pewnym czasie zabrać się znów do gawędki z wami i przesłać wam dalszy ciąg tych opowiadań, których pierwsza wiązka was dochodzi.

Z waszej strony nie zapominajcie o biednych Misyonarzach Bożych. Kochajcie nas trochę, gdyż jesteśmy braćmi waszymi; pomagajcie nam, bo możecie, a nadewszystko módlcie się za nas bardzo.

SZKAPLERZ I GALONY

przez Mgr'a LE ROY.

Dziś opowiedzieć muszę miłym Dziatkom zdarzenie, które jednak i dorośli wziąć mogą do serca. Ma ono tę wyższość nad wielu innemi, że jest prawdziwe, iż przynosi pożytek i w krótkich da się zamknąć słowach.

Widownią rozegrania się małej sceny był pokład pocztowego parowca, który w przystani miasta Libreville, w Gabunie, zarzucił kotwicę. Ileż to pięknych i dobrych rzeczy przywozi taki z Europy statek! Bieliznę, ubranie, nowe zapasy i — bo wszak i sercu też coś się należy — listy od drogich oddalonych osób.

Ojciec Szaffner wybrał się właśnie dużą swą łodzią do Libreville po nadeszłe skarby. Łódź taka, zwana »pirogą«, nie jest czem innem, jak wydrążonym pniem drzewa długości koło 5 metrów. Szesnastu silnych chłopców, z naszych warsztatów misyjnych, stanowi jej załogę. Są to pahuini z pierwotnych lasów, potomkowie ludożerców, dziś jednak albo już ochrzczeni, albo przygotowujący się do Chrztu św.

Jeden z tych chłopców chciał właśnie wnieść pakę do łodzi, gdy zbliżył się doń oficer marynarki i wzgardliwie przemówił:

— Ty, czarny hultaju, co to za szmatę sukna zawiesiłeś na sobie?

— Panie oficerze, to — szkaplerz.

— Co? szkaplerz!!! Czy możesz mi wytłómaczyć co za znaczenie ostatecznie ma szkaplerz?

— Ty, panie oficerze — odpowiedział chłopiec pytaniem — co to masz na rękawach?

— Półgłówku murzyński! to są moje galony.

— Dobrze! twoje zatem galony są dla ciebie oznaką, że jesteś oficerem, a mój szkaplerz oznacza dla mnie, że jestem chrześcijaninem katolikiem i synem Najśw. Maryi Panny. Ani mniej, ani więcej!

Oficer zamilkł i nie bez powodu, gdyż wywołał śmiech wśród otoczenia.

Potem, niespodzianie, jakby w przystępie żalu, odezwał się do murzyna:

— Ale ty, chłopcze, masz odpowiedź na pogotowiu!

I wcisnął mu pół franka w spracowaną rękę.

Niech nas to zdarzenie pouczy, że tchórzostwo nigdy na nic się nie zdaje, nigdy na nic się nie zdało i nigdy nie zda się na nic.

(»*Petit Almanach*«. 1895).

Adres Administracyi „Echa z Afryki“ i „Murzynka“ Kraków, ul. św. Anny 4.

Cena za rok 1913: K. 1·50, (M. 1·50, Rb. 1 = 50 cnt.).

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.

Redaktor odpowiedzialny: *A. Świerzyński.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu“.